

Zmartwychwstania nie będzie

Boże Ciało leżało pod darnią. Płytko. Pod górkę, na prawo od Stacji V Drogi Krzyżowej „Pomoc Szymona”. Między stacją IV „Miłość Matki”, a VI „Chusta Weroniki”.

Zanim Ciało stało się Boże, było zwyczajne, ludzkie. Miało mamę, tatę, starszą siostrę, prawie 10 lat i imię: Sebastian.

Pięć lat wcześniej, wiosną 2001 roku, przyjechali całą rodzina po raz pierwszy do Boguszowa. Szukali domu na zawsze. Koniecznie z ogródkiem. To znaczy z miejscem na ogródek, który mama chciała założyć i pielęgnować osobiście.

Boguszów okazał się ciasny, duszny i brzydki. Pokopalniany. Pogórniczy. Smutny. A mama była fryzjerką. Lubiła, żeby wszystko było piękne. Tata pracował w rozrywce, w wielkim lunaparku za granicą. Lubił, żeby było wesoło. Ale skoro przejechali te 40 kilometrów z Żarowa, aż tutaj, to może jednak wypada, chociaż rzucić okiem? Pojechali pod wskazany adres. Okazało się, że wystarczy przejechać przez tory, w dół od środka (bo trudno powiedzieć centrum) Boguszowa, żeby wszystko się odmieniło. Dzielnica Stary Lesieniec była jak z bajki i z Boguszowem łączyła ją tylko nazwa. Pagórki, ogrody, biały kościółek w zieleni, łączki, drzewa, górą laski. I do tego wszystko w kwiatach. Białych. Różowych. Jabłonie, grusze, śliwki, czereśnie, wiśnie. Wszystko kwitło, jak to w maju. I w tych kwiatach ich przyszły dom. Nie duży, szary i osowiały, ale zgrabny. Do remontu. Piwnica, parter, strych (łatwy do przerobienia na piętro). Położony ze wszystkich domów najpiękniej. Naprzeciwko kościoła. Ładnego jak z pocztówki. Z długą, zapuszczoną działką wzdłuż stromej skarpy. Na tyłach domu skała. Biało – szara ze srebrzystą rysą. Prawie wisiała nad gankiem. Lśniła w majowym słońcu. Westchnęli.

W tym samym czasie kamieniarz (ma zakład między Starym Lesieńcem a zakładem przeróbczym byłej kopalni barytu) przystąpił do realizacji publicznego zamówienia. Parafia i samorząd postanowiły uświetnić Boguszów, a właściwie jego okolicę, czyli trasę turystyczną na górę Chełmiec. I to nie było jak i nie było czym. Drogą Krzyżową Trudu Górniczego z granitu. Kamieniarz przystąpił do pracy. Czternaście stacji: pierwsza otwierająca i trzynaście kolejnych, jak w kościele. Trudno o bardziej trafny i bardziej szlachetny wybór.

W Boguszowie górnictwo kojarzy się z Golgotą. Całe życie miasta, od zawsze zależało od tego, co jego mieszkańcy wydobywali z tej ziemi. Przed wiekami srebro, po ostatniej wojnie - baryt. Bokiem, węgiel. Bokiem, bo Boguszów leży na uboczu Wałbrzycha, serca

Dolnośląskiego Zagłębia Węglowego, które tym się różniło od Górnośląskiego, że go nie pokazywali w telewizji. No, chyba, że lokalnej i to wyłącznie z okazji Barbórki. Tu nie przyjeżdżał Gierek. Tu się pracowało, zarabiano i żyło. Bez luksusu, ale godnie. Boguszów dotykał do hałd jednej z wałbrzyskich kopalń węglowych, Viktorii. Stąd, co drugi boguszowski chłop pracował na węglu, a co drugi na barycie. O, to była największa (a właściwie jedyna) chluba Boguszowa. Jedyna w Polsce kopalnia siarczanu baru. Biało-szarego kruszywa ze srebrnymi żyłkami. Nikomu, po zmianie ustroju, na tej kopalni nie zależało. Nikomu, oprócz górników i reszty Boguszowa. To za mało. Nic nie pomogło ani kopalni, ani miastu. Żaden strajk ostrzegawczy. Żadna pikietka. Ani negocjacje w Warszawie. Ani ściąganie ministrów na miejsce. Nawet strajk okupacyjny dołu, w wigilię 1993 roku, kiedy to górnicy zabrali ze sobą choinkę (wyciętą nielegalnie z lasu za hałdą u podnóża góry Chełmiec) i zwieźli 400 metrów pod ziemię. Nie pomógł nawet proboszcz, który zjechał do nich z opłatkiem i odprawił podziemną pasterkę. Ani posłowie, którzy odwiedzali ich pod ziemią między Bożym Narodzeniem a Sylwestrem, ani krajowy szef ich związku zawodowego, wtedy najsilniejszego. Nie pomogło nic. Jeszcze dwa lata kopalnia usiłowała pracować. Coraz mniejsze zatrudnienie, a co za tym idzie, wydobywanie. Aż przestała istnieć w ogóle. Wszystkie starania i obietnice psu na budę, a baryciarzom na zwykłą kuroniówkę. Bez odpraw, „pomostówek”, dróg wyjścia. W międzyczasie Dolnośląskie Zagłębie zamykało kolejne kopalnie węglowe, w tym wałbrzyską Viktorię, w której pracował co drugi boguszowski chłop.

Główny szyb barytu w końcu wyleciał w powietrze. Zrobiła to profesjonalna firma na zlecenie likwidatora. Na powierzchni ziemi nie było już śladu po kopalni. W podziemiach pracowała woda. Pracuje do dziś. Boguszów tu i ówdzie się zapada. Miasto łąta się jak może. Odnawia rynek, przyległe ulice. Elewacje, ławki. Otwiera Centrum Kultury z Biblioteką Publiczną. W samym rynku. Ważniejsze niż sam ratusz. Nie ma produkcji, wydobywania, wielkich szlaków handlowych, to niech będzie kultura.

Uroczyste obchody pięćsetlecia miasta. Zaprosili Kwaśniewskiego. Był wtedy prezydentem. Miał przyjechać, przysłał list. A ludzie czekali w rynku przed biblioteką, żeby pooglądać. Jak nie jego, to chociaż żonę Jolantę, bo to taka elegancka kobieta. Była, owszem, w pobliżu, po drugiej stronie Wałbrzycha w Zamku Książ, ale na innej uroczystości. Do nich nie zajrzała. Burmistrz się nie załamał. Jeszcze tu ludzie będą przyjeżdżać! Jeszcze będzie w Boguszowie na chleb i do chleba! Co my tu jeszcze mamy ładnego, tak, od Boga, bez wysiłku (to znaczy bez pieniędzy, których nie mamy). A, okolicę! Wzgórza dookoła miasta, jak w Rzymie. Małe

Bieszczady. Za małe na wielką turystykę i narciarzy wyczynowców. Może, więc coś innego? Specyficznego? Nocny bieg na 100 km „Sudecka Setka”. Przez wszystkie wzgórza i tę najważniejszą, górę Chełmiec.

Rozkręciło się. Przyjeżdżało z roku na rok, co raz więcej uczestników. Najpierw z terenów wałbrzyskich, potem z Dolnego Śląska, z czasem z całej Polski, nawet z Gdańska. W końcu Czesi i Niemcy (do obu granic nie za daleko). Garść Francuzów. Od zawsze przyjeżdżali w gości do swoich, a teraz, przy okazji, na bieg. Ma bowiem Boguszów grupę zacnych reemigrantów z Francji. Ich rodzice i dziadkowie wyjeżdżali za chlebem, oni wrócili na starość do Polski. Tam też byli górnikami, tyle, że zamiast zasiłku mają teraz francuskie emerytury. Sklepikarze modlą się za ich zdrowie. Jak wymrą, tylko szmateks i Biedronka się w tym mieście utrzyma.

Samorząd prężny. Poszukał Miast Partnerskich za granicami. Wymiany, delegacje, plenery międzynarodowe. To jest szansa. Promować się, ściągać ludzi. Turystyka, pamięć, świadomość korzeni, szacunek dla przeszłości i droga w przyszłość. Droga Krzyżowa Trudu Górniczego od centrum miasta na szczyt góry Chełmiec. Każda stacja pamięci jakichś górników. Wzdłuż trasy, którą chłopcy dziesiątki lat szły do roboty. Stacja I („Haniebny Wyrok. Pamięci Górników Kopalni Barytu”) przycupnęła najbliższej byłego szybu B, gdzie skręcali baryciarze. A pozostałe w górę, w przyszłość, na Chemiec. Wzdłuż trasy biegu na 100 kilometrów.

Wizja. Dobra, śmiała, choć skromna. Bo na bardziej wystawną skąd brać pieniądze, na miły Bóg? Bezrobocie oficjalne 30%, ludzi bez pracy faktycznie dwa razy więcej. Z kolei znaleźć kogoś uczciwego, do byle jakiego zajęcia, trudno. 10 lat przeleciało w dziadostwie. Albo się towarzystwo rozpiło, albo wymarło, albo nauczyło utrzymać z zasiłków z opieki społecznej (promocja na kości wołowe i ser chudy, woda mineralna – bąble gratis), albo zapomniało z tej niesprawiedliwości dzieci wychować i tłumaczyć im od małego, co dobre, a co złe. Dlatego teraz, te dzieci też się do roboty nie nadają. Nawet, gdyby była. Oczywiście trafiają się rodziniki. Uczciwi i prawi, mimo, że ich to państwo oszukało. Ale najczęściej zdrowia nie mają. Ich dobre dzieci poszły w cholerę z Boguszowa. Do szkół, do pracy, do Wrocławia, za granicę. Gdziekolwiek.

Franek był baryciarzem. Miał żonę i dwóch synów. Kobiety w Boguszowie mówią, że pił, bił, po nocach uciekali z domu, raz wigilię spędzili na posadźce w piwnicy, bo ich wygnał z mieszkania na poddaszu. Jak wypił to był wariat i dawał zły przykład dzieciom. Mężczyźni mówią, że było na odwrót. Franek był pantoflarz i dupa nie chłop. Pił jak każdy, piętnastego

po wypłacie. Boguszowskie żony (nie wszystkie, ale jednak) zwykle przesalały zupę właśnie w ten dzień, więc może i frankowej się zdarzyło. On sam, na co dzień w domu nie znaczył nic. To on był bity, przez starszego syna Daniela. I to tak, że nieraz z limem na szychtę przychodził. Raz oberwał od niego tak solidnie, że sprawa trafiła do sądu. Syn dostał wyrok w zawieszeniu.

W końcu, gdy Franek był już bez pracy, wysiadała go rodzinka, z pokoju do przedpokoju. Siedział w takiej wnęce z leżanką i małą turystyczną gazówką. Pić wtedy zaczął rzeczywiście ostro, bo co miał robić?

Mimo wszystko, jak na Boguszów, miał szczęście, bo załapał się na emeryturę. Stały pieniądze, co miesiąc. Żona złożyła wtedy do sądu o alimenty na siebie i młodszego syna. Dostała. Pół emerytury poszło do nich, a Franek poszedł z domu (a właściwie z przedpokoju) w diabły. Nocuje od tej pory po kolegach, na melinach. Całymi dniami siedzi na ławce przed ratuszem, jakby na coś czekał.

- Dobrze mu tak – mówią kobiety. – Katował żonę, to się syn karata nauczył i mu w końcu dojechał tak, jak się należy.

- Gówno prawda- mówią mężczyźni. – Pierdolnięty był ten Daniel od początku. Zryty miał beret, dziwoląg jeden. To matki wina, że nie był wychowany, nie ojca. Po co się z Panem Pisanką zadawała?

Pan Pisanka tak został nazwany przez boguszowskie dzieci, bo cały jest w tatuażach.

- Więcej w pierdłu niż na wolności – przebijają mężczyźni.- Takiego wołała od Franka. A jeśli chodzi o picie, to trzeba by oboje zmierzyć, kto więcej w życiu zdażył. On czy ona.

Takie to dyskusje trwają w Boguszowie. Kto gorszy: ojciec czy matka Daniela? Kto go wychował na mordercę? W końcu: co mu się stało, że zabił i to tak okrutnie? Bo w sumie to zawsze był dziwny, ale spokojny chłopak. Z tych, co to zawsze pierwsi mówią dzień dobry, ale nigdy nie patrzą w oczy.

O Sebastianie się nie dyskutuje. Dlaczego on, za co, dlaczego? Że nie pójdzie do kina, nie będzie się pierwszy raz całował, nie pójdzie na studniówkę, nie będzie kosmonautą ani nie wynajdzie lekarstwa na raka, nie będzie miał trzech synów i ani jednej córki. A przede wszystkim, że nigdy nie wróci ze szkoły i już nic mu się nie zdarzy.

Sebastian był nietutejszy. Mało wiedzą o jego ojcu i matce. Nikt nie pamięta, jak mają na imiona. Dlatego mówią o nich „on” i „ona”. On siedział głównie za granicą, a ona w tym swoim ogródku na Starym Lesieńcu. Jak on zjeżdżał z pracy to się tylko ze sobą trzymali. Nie mieli w Boguszowie przyjaciół. W sumie czort wie, co za jedni. Ona bardzo piękna i młoda. On trochę starszy, przystojny i wesoły. Córka chodziła tu do szkoły, a ten Sebastian, cóż, w

zeszłym roku miał komunię i cały czas ćwiczył tego karata czy jak to się tam nazywa. Sprowadzili się tu z Żarowa, ledwo pięć lat wcześniej, na jesieni 2001 roku. Dom remontowali powoli, ale z gustem. Szkatułkę z niego robili, chociaż nie zdążyli do końca. Podobno im się Boguszów odwiedził, jeszcze zanim się to stało z Sebastianem. Chcieli sprzedać dom niewykończony. Nie zdążyli. Teraz to się go pozbędą na pewno. Chociaż dom niczemu niewinny. A kto winny? Wiadomo, że Daniel zabił, ale co mu się stało, że to zrobił? Coś w głowę na pewno. Bo przecież spokojny był, chociaż dziwny. Zawsze pierwszy mówił dzień dobry, chociaż nigdy nie patrzył w oczy.

Czego on chciał od życia? Przecież miał stałą, legalną pracę. Fakt, że słabo płatną, nieciekawą i otumaniającą, bo siedział na portierni w zakładzie pod lasem i jego zadanie polegało na tym, żeby nic nie robić, ale nie spać. Miał przecież stałą dziewczynę. Fakt, że ani specjalnie piękną, ani mądrą, ale za to taką w sam raz do niego. Żenić się mieli. Termin już ustalili. Oboje chcieli. Ona młoda jeszcze, ale on, 34 lata, czas mu był.

Do tego pasję swoją miał i sukcesy. Ćwiczył tego karata, który naprawdę nazywa się Combat Kalaki i pochodził z Filipin, a nie z Japonii. Teraz w Boguszowie wszyscy wiedzą, na czym ta sztuka walki polega. Sprawdzili w Internecie. W zwykłej encyklopedii nie ma o tym ani słowa. Wysoko był w tej strukturze. Czarny pas, drugi dan, trzydziesty pierwszy na liście w Polsce, czternasty w swojej kategorii. Prowadził zajęcia po różnych klubach w Wałbrzychu. W końcu, któregoś dnia, jakieś 3 lata temu przyszedł do pani dyrektor Centrum Kultury w rynku w Boguszowie i zapytał, czy może ćwiczyć w sali nad biblioteką. Przyszła z nim grupa młodzieży, prawie wszyscy pełnoletni. Prosili. Pani dyrektor zajrzała do Internetu. Wyglądało dobrze. O karze za pobicie wiedzieli wszyscy, ale lata minęły, więc wymazana. Zatrudnić go nie mogła i nie chciała, ale i on pracy nie szukał, tylko sali. W sumie, przestrzeń wspólna społeczności lokalnej. Mają się po garażach szwendać, po piwnicach, to niech ćwiczą w Centrum Kultury. Od tego ono jest, żeby potrzeby lokalnej społeczności, w tym dzieci i młodzieży, zaspakajać. W dodatku sala użyczona za darmo, zajęcia za darmo, wolontariusz z pasją chce je prowadzić, chłopak miejscowy, to czemu by nie?

Zajęcia odbywały się spokojnie i z kulturą. Kimona sobie poszyli, takie specjalne kije mieli, puszczali muzykę. Zaczęli ludzie zaglądać i przypatrywać się, więc na drzwiach Centrum Kultury zawisło ogłoszenie, że takie a takie zajęcia odbywają się, w jakie dni i godziny i kto je prowadzi. Przyszły tłumy. Jak to na początku. Potem gapie, jak zobaczyli, że trzeba się spocić, zanim się człowiek czegoś nauczy, odpadli. Została grupa najtwardszych. W tym dziewczyna, w której zakochał się z wzajemnością instruktor Daniel i kilkoro całkiem małych dzieci, z podstawówki.

Sebastian chciał być antyterrorystą i twardzielem w ogóle. Jak był maluchem, to strasznie chorował, ale po przeprowadzce na Stary Lesieniec wszystko mu przeszło. Uodpornił się. Lubił ćwiczyć. Łazić po drzewach. Lubił zwisać z gałęzi i sprawdzać ile wytrzyma. Do piwnicy się wymykał, żeby mamie narąbać drzewa. Żeby nie zabroniła i żeby jej zrobić niespodziankę. Był mężczyzną w domu. Tata przyjeżdżał na lato i na zimę. On natomiast był przy swoich kobietach cały czas. Dbał więc o nie. I miał marzenia, o których rodzice wiedzieli. Sami szukali jakichś takich treningów. Gdyby go interesowała muzyka, chodziłby na lekcje gry. Gdyby chciał grać w piłkę, to bym go zapisali do młodzików. Jakby wołał plastunki, to by sobie malował. Ale on chciał być antyterrorystą. I koniec.

Tata akurat był w Polsce, gdy na drzwiach Centrum Kultury zawisło ogłoszenie. To było to. Sprawdzili. Sala w rynku, instytucja publiczna, trener spokojny i kulturalny, z Boguszowa. Mieszkał z matką i bratem trzy kamienice od rynku. Dużo dzieci i młodzieży miejscowej się zapisało. Skoro rodzice z Boguszowa posyłają na te treningi, to znaczy, że wszystko w porządku. Sprawa jest legalna.

Dwa razy w tygodniu mama odwoziła i przywoziła Sebastiana na treningi osobiście. Jeśli tata akurat był w Polsce, przyjeżdżali do Centrum Kultury we dwoje. Pani dyrektor pamięta, że to bardzo weseli i wyjątkowo bliscy sobie ludzie. Raz trening się przeciągał, a oni czekali pod drzwiami. W sali obok było spotkanie klubu seniora. Grała muzyka. Taka do tańca. Oni zaczęli się kiwać i przytupywać. „Ale ładnie grają”- powiedzieli. „To zapraszamy” odpowiedziała pani dyrektor. Zaśmiali się tylko.

Pan prokurator traktuje poważnie swoją pracę. Robi więcej niż trzeba, rozmawia delikatniej i na raty, jeśli uzna to za stosowne (w przypadku świadków i poszkodowanych) lub wskazane (w przypadku sprawców).

- Podejrzanych – poprawia mnie. Nie wypada używać słów, zanim nie stają się ciałem.

Podejrzany Daniel jest z Boguszowa. Prokurator wie, co to znaczy, bo sam jest z Wałbrzycha. Obserwował likwidację kopalń, to, co się stało z ludźmi zlikwidowanego Dolnośląskiego Zagłębia. Ma własną definicję pojęcia „demoralizacja”. Życie górnicze było proste, ale zorganizowane. Wiadomo było, kto przynosi pieniądze, kto gotuje zupę (choć od czasu do czasu przesala). Dzieci wiedziały, kto jest wzorem i na co. Do jakiej szkoły pójść, żeby spokojnie ten wzorzec odtwarzać. Gorszym wiodło się gorzej, a lepszym lepiej. To była norma. Patologia to było coś poniżej tej normy. Nie można powiedzieć, że kiedyś był raj, a teraz piekło. Zawsze było co robić.

- To prawda. A co się dzieje, gdy norma jest nisko, tak nisko jak teraz? Gdzie jest patologia? W piekle?

Wyraziłam się nieprofesjonalnie. Nie jest rolą prokuratora tłumaczyć sprawcę. Ani broń Boże go usprawiedliwiać. Ale szukać wszystkiego, co ważne dla sprawy. Otóż popełnił on czyn wyjątkowo okrutny. Zaplanował. Zorganizował. Doprowadził do realizacji. Czyn na istocie bezbronnej. Na dziecku, które mu ufało, uwielbiało, podziwiał. Zdradził je, pozbawił życia, zadał cierpienie. Wstępna opinia biegłych jest taka, że w chwili popełnienia czynu był poczytalny. Ale długotrwała obserwacja psychiatryczna jest niezbędna. Podejrzany kręci. To się uznaje za mistrza i opiekuna Sebastiana, to się przyznaje, to opowiada jakieś brednie. Nie pozostawia wątpliwości fakt, że to on zaprowadził policję na to miejsce, on wskazał, gdzie ukryte są zwłoki. Pod kamerą policyjną odchylana była darni, gałęzie i wióry, pod którymi leżało ciało ofiary.

- Ciało leżało pod darnią. Płytko. Na prawo od piątej stacji drogi krzyżowej „Uczynek Szymona”. Daniel powiedział „zadałem mu szybką śmierć...”

- Chodzi pani o to czy cierpiał? Czy miał świadomość umierania? Tak, słusznie, tym należy mierzyć okrucieństwo czynu. Miał świadomość. Kilka minut.

-Zdrady. Śmierci. Bólu...

Milczymy. Tym razem oboje nieprofesjonalnie.

- Po co kłamał? Przecież pękł w kilka godzin.

- Na to pytanie odpowiedzą nam biegli. Po to potrzebna jest obserwacja. Nie można kłamać konsekwentnie, tak samo, przez kilka tygodni pod okiem specjalistów. Poza tym, oprócz przyznania się w czasie wizji i wskazania miejsca ukrycia zwłok, zostawił nam inne dowody materialne.

- On to zrobił. Dlaczego? Dla sprawy i poza sprawą, chciałoby się to wiedzieć. Prawda?

- Prawda. - Mówi prokurator i widać, że on chce. Dowiedzieć się, po 20 latach pracy, nie tylko na co stać człowieka, ale także dlaczego. - Media powtarzały to, co podejrzany powiedział do kamery. My musimy to sprawdzać. Krok po kroku. Który jest prawdziwy, który prawdopodobny, a który fałszywy.

Zaczęło się od zaginięcia.

Sebastian prosił mamę, żeby mu pozwoliła iść na trening indywidualny. Zamiast do szkoły. Zabroniła. Masz na to czas po lekcjach. Zresztą wszystkie treningi Sebastiana od dłuższego czasu były indywidualne. Grupa Combat Kalaki rozsypała się. Jednym się znudziło, innych zbyt męczyło, jeszcze inni narzekali, że zajęcia wcale nie były darmowe i głupie 15 złotych

na miesiąc to też może być problem w Boguszowie. Jeszcze inni wykruszyli się, nie wiedzieć czemu. Bo trener był coraz bardziej dziwny. Zapowiadał próby wytrzymałości, marsze zimą boso po śniegu itp. Teraz każdy mądry. Wtedy nikt nie powiedział nic.

Treningi Sebastiana, choć indywidualne, nadal odbywały się w Centrum Kultury. Nadal przywoziła go i odbierała mama. Trener był dla niego ważny. Osiągnięcia w Combat Kalaki jeszcze ważniejsze. Miał dwa kimona: białe i czarne. Po każdym treningu prosił mamę, żeby prała, bo pan tak kazał. Wszystko, co mówił pan, było święte. Cytował go. Przestrzegał zasad. Nie były złe, więc rodzice się nie buntowali. Poza tym pan, starał się pokazać z jak najlepszej strony. Zabierał Sebastiana na ryby. Mama poszła z nimi. Dziewczyna trenera również. Dwóch kolegów Sebastiana też. Wszystko było w porządku. Damian i jego dziewczyna chcieli się pobrać. Szukali taniego pokoju do wynajęcia. Pytali mamy Sebastiana, czy na Starym Lesieńcu o czymś nie słyszała, bo to najładniejsza dzielnica Boguszowa. Słyszała. Obejrzeli. Wszystko szło dobrze.

Coraz częściej chodzili na ryby. We dwóch. Ostatnim razem we trzech. Sebastian zabrał kolegę. Jak ojciec kolegi się o tym dowiedział, zdenerwował się, wsiadł na rower, znalazł ich nad stawem, posiedział z nimi trochę i ze swoim synem wrócił do domu. Dlaczego się zdenerwował? Nie wiadomo. Sebastiana do furtki odprowadził trener.

Nazajutrz miał być ten trening indywidualny, na który mama się nie zgodziła. Sebastian spakował więc książki i zeszyty i wsiadł do szkolnego busa. Wysiadł pod szkołą. Powiedział kolegom, że ma trening i gdzieś poszedł.

Po południu mama dostała sms-a od trenera, że czeka na Sebastiana po lekcjach, tak jak byli umówieni. Potem drugiego, że nie przyszedł. Wpadła w panikę. Zaczęła szukać syna sama, potem ze strażą miejską, policją. Ściemniało się. Sprowadzili psy. Przeczesywali lasy, łąki, górki. Noc. Koledzy mówili o treningu, że poszedł do pana. Poszła i mama, z policją. Przez uchylone drzwi zobaczyła mieszkanie. Ściany w odcieniu koks. Barłóg. Klejący się dywan, dwa kundle, wszędzie sierść i jakieś bety. To tak mieszka pan od treningów w Centrum Kultury? Zawsze tak idealnie ogolony, nienagannie zapięty pod szyją, odprasowany, czysty, wręcz ascetyczny jak mnich? Pan, który kazał prać kimono po każdym treningu w czystej sali?

Daniela policja zabrała na spytki. Pokazał sms-y, że sam był zaniepokojony, bo Sebastian nie przyszedł po szkole, choć tak właśnie byli umówieni. Brał nader aktywny udział w poszukiwaniach. Nie pomogło.

Nazajutrz Sebastiana szukało całe miasto. Matki trzymały dzieci za ręce. Żadne nie bawiło się w kałuży, nie dyndało na trzepaku. Na miasto padł strach. Na każdym słupie, murze, witrynie

wisiał zdjęcie Sebastiana, lat 10, zaginiony. Lokalne radio i telewizja nadawały apele. Może jest w Czechach? Zielona granica tuż tuż. Może w Niemczech? Ale po co. Tata miał wrócić za miesiąc i to na całe lato. Nawet już zaczął kupować prezenty. W ostatnich telefonach i sms-ach obiecywał, że tym razem nie będzie się zajmował żadnymi remontami, żadnymi ważnymi sprawami tylko rodziną. „Będę tylko z tobą chodził na ryby” –pisał. A Sebastian dopytywał „naprawdę będziemy chodzić na ryby? Tylko ty i ja?” Nie, nie mógł uciec z domu. Nie on. To musi być porwanie.

Tata załatwił sobie bilet zaraz po pierwszym telefonie żony. Jego lunapark stacjonował daleko, w głębi Niemiec. Kierowcy wiedzieli, dlaczego wraca. Dali mu swoje miejsce, takie do odpoczynku, żeby nie musiał siedzieć wśród ludzi, patrzeć im w oczy. Telefony do żony. Brać za dupę tego trenera. Nigdy mi się nie podobał. Skoro Sebek powiedział, że idzie do niego, to poszedł! I dzwoń po Rutkowskiego.

Detektyw nie zdążył dojechać do Boguszowa.

Wzięli Damiana na spytki jeszcze raz. To nie trwało długo. Autobus taty zdążył przejechać przez granicę. Było włączone radio. W dzienniku apel w sprawie zaginionego. Potem kierowcy puścili film. Na przystanku była przerwa na papierosa. Wyłączyli magnetowid. Włączyli radio. Tata poprosił, żeby dali głośniej. I wtedy się dowiedział.

A przed nim jeszcze 4 godziny drogi.

Daniel opowiadał do policyjnej kamery, co zaszło. Szli w górę, jak na Chełmiec.

Przy wzgórzu nazywanym Bismarck(był tu do końca wojny jego pomnik), na prawo od Stacji V Drogi Krzyżowej, podeszli stromizną w las bukowy. Tu „coś mi się takiego stało” że podciąłem mu gardło dwa razy i wbiłem nóż w brzuch. Przeszedł na wylot. Pod tym drzewem leżały worki. Spakowałem go w te worki i zagrzebałem tam. Podeszedł kilka metrów dalej, w prawo pod górkę i wskazał miejsce między gałęziami. Chrust, jakieś wióry, liście, darń. Podnieśli. Włożyli gumowe rękawiczki. Rozdarli worki. Sebastian w nich był.

Te zdjęcia zobaczyła cała Polska. Wszyscy zapamiętali, że Daniel mówił o sznurkach i zawieszaniu Sebastiana żywego, nie okaleczonego nawet, głową w dół, między dwoma bukami i podcinaniu mu w tej pozycji żył. Na drzewach wisiały jeszcze sznurki.

- To nie prawda- twierdzi prokurator. Sprawdziliśmy. Niemożliwe. Tego akurat nie było.

- Dlaczego kłamał? Dlaczego dokładał sobie jeszcze okrucieństwa?

- Nie wiem. Może biegli...

- Wersja mediów mówiła o tle seksualnym...

- Bo to modne. Jak na razie nic na to nie wskazuje.

- Wersja podejrzanego, o porwaniu dla okupu. To się zupełnie nie trzyma kupy. Zabił przecież natychmiast. Nie przetrzymywał, nie stawiał żądań.

- Tak całkiem bez sensu to nie jest. On wymienia kwotę pięćdziesięciu tysięcy. Człowiek, który nigdy nie widział naraz pięciu. Nie zapominajmy, że rzecz się stała pod Wałbrzychem, w Boguszowie. Porwanie to przetrzymywanie. Ale on nie miał domku na przedmieściu. Ba, on nawet nie miał kolegi, który by taki domek miał. Nie wykluczam, że zabicie było jak przechowanie. Wyłudziłby pieniądze i dziecka nie oddał. Sprawdzamy to.

- A może chciał się zemścić za swoje nieudane dzieciństwo? Na chłopcu, którym on sam nigdy nie był? Z piękną, porządną, wierną mamą. Ze ślicznym domkiem. Miłą siostrą. Z tatą, który dzwonił pisał, przywoził prezenty, spełniał marzenia i obiecywał, że tym razem będzie inaczej. Że będą cały czas razem. Tylko we dwóch będą chodzić na ryby. Całe lato. Na wakacjach nie będzie treningów. Reszta grupy się rozsypała. Już nie był dla nikogo mistrzem. Sebastian też miał go zdradzić.

- To dlatego człowiek może się wcielić w rolę Boga i odebrać życie? Dziecku?- Ni to dziwi się, ni to oburza prokurator.

Znowu milczymy. Oboje.

Dwa miesiące po śmierci Sebastiana. Boguszów się goi. Szybko. Za szybko. Na widok dziennikarza ludzie pytają, w jakiej sprawie. Kobiety mówią, że to вина Franka, to złe dzieciństwo Daniela i że przez to był dziwny i coś mu się w głowę stało, że zabił. Mężczyźni, że nie Franek, a żona jest winna. A chłopak z sąsiedztwa wspomina, jak Daniel go uratował.

- Szedłem sobie z górki, od lasku, a tu trzech w kominiarkach wyskakuje, zaraz przy Pierwszej stacji Drogi Krzyżowej. I do mnie „dawaj komórkę!”. Daniel ćwiczył z tymi swoimi kijami w krzakach, trochę wyżej. Usłyszał, wyskoczył. Uciekli. Wtedy też wyjął nóż.

- On często tam ćwiczył? Wzdłuż drogi na Chełmiec?

- Zawsze! On mało co w domu siedział. Albo w pracy, na portierni, albo w lesie z kijami. Lubił też chodzić tamtędy, poza domy, z psami i z tym swoim plecaczkiem. Raz nawet nas upomniał, jak ganialiśmy z kolegami po brzezynie na byłym szybie B. „Uważajcie chłopcy, to się może w każdej chwili zarwać i będzie nieszczęście”. Tak mówił.

Dlatego nikogo nie zdziwiło, że tego dnia, w południe schodził z góry. Zachowywał się normalnie, to znaczy jak zwykle. Wyprostowany. Nie rozglądał się na boki, krok za krokiem, trochę jak robot, po liniach prostych. Sąsiad z dołu malował korytarz. Daniel powiedział mu „dzień dobry, o jak tu teraz będzie ładnie”. Potem zjadł obiad, wyszedł, spotkał się z dziewczyną, wysłał sms i poszedł na ryby. Potem przysłała policja z matką po raz pierwszy,

potem cały Boguszów ruszył na poszukiwania. On też. Potem sąsiedzi widzieli, jak go prowadzą. Sześciu byków w mundurach. A on taki chudy po środku. Szedł spokojnie, równo, bez rozglądania się. Jak zwykle.

Na ulicy, przy której mieszka rodzina Daniela, spokojnie. Pierwsze dni jego matka darła się z okna, włosy rwała. Dziś nie. Pod Biedronką powiedziała nawet, że kto ją będzie szykanował, wyzywał, tego na policję poda, bo swoje prawa zna. To jej syn zawinił. Nie ona.

Franek znowu zaczął pokazywać się w rynku. To coś wypije, to popatrzy w niebo. Nic nie gada. Tyle, że syn mu się zmarnował, a drugi nie lepszy.

Burmistrz siedzi w gabinecie osowiały. Jemu nie przeszło. Chłopaczka strasznie mu szkoda. Dziecko to przecież. Niewinne. Wszystko przed nim. Zaufało.

- Na ten cały świat trzeba patrzeć, przez pryzmat tego nieszczęścia, a nie tylko na jedną czy drugą rodzinę- mówi. - Na biedę, z którą słabsze umysły nie radzą sobie wcale, a silniejsze jadą zagranicę i zostawiają bliskich z pieniędzmi, ale bez ochrony. Co teraz z tą młodzieżą robić? Nie wpuszczać do biblioteki? I tak większość siedzi na ławkach i jest coraz gorsza. Co mam zrobić w wakacje, w ferie? Nauczyciele mają swoją Kartę i cześć jak czapka. Wychowawców, opiekunów ściągać z Polski? Za co? I jak ich sprawdzać? Na wykrywacz kłamstw ich sadzać, czy nie zboczeni? A gdyby ten Daniel miał wszystkie papiery instruktorskie i kurs pedagogiczny, to by nie zabił?

Tymczasem proboszcz obstałował u kamieniarza granit z krzyżem i tabliczką. Ustawili go w tym miejscu, się gdzie to stało. Poszli tam z młodzieżą szkolną i modlili się. Za Sebastiana i za Boguszów.

Pani Zosia płacze za biurkiem. I nad Sebastianem i nad całym Boguszowem. Jest w urzędzie współodpowiedzialna za promocję miasta. A promocja poszła jaka poszła. Na Sudecką Setkę zapisało się 240 osób, nie wystartował co czwarty. Do przyszłego roku może się wyrówna.

- Może ten nasz Boguszów jeszcze stanie na własnych nogach. Może powstanie. Przecież musi! Przecież tu ludzie żyją! Przecież nie on jeden tak się został na uboczu wielkich przemian. Tak nam już dobrze szło, tak się staramy!

Tymczasem w Boguszowie znowu morderstwo. Dwóch łebków podejrzewają, że za parę pierścionków, udusiło sąsiadkę. Sprawa nie była medialna, bo to staruszka, nie dziecko.

Domek jak szkatułka na Starym Lesieńcu, jest pusty, chociaż zamieszkały. Nie można nikogo zastać. W niektórych oknach wiszą świeżutkie firanki, a niektóre są ledwo wstawione. Nawet nalepki jeszcze nie zdarte z szyb. Remont stanął w miejscu nagle.

Na cmentarzu w Żarowie biały grób. Tata montuje białą ławkę. Siostra została w samochodzie. Mama siada ze mną na trawniku przed cmentarzem. Nie ma gdzie się spotkać. Do Boguszowa wracają, jak już naprawdę nie mają nic do załatwienia. Na cmentarzu są co drugi dzień, choć planują tu się sprowadzić z powrotem, więc będą codziennie. W mieście wszyscy ich znają, bo stąd pochodzą, więc każdy się patrzy. A oni, póki co, nie wiedzą co z tym zrobić.

Rozmawiamy. O tym, że to nie prawda, że czas goi rany. Każdego dnia tęskni coraz bardziej. W piwnicy jest drewno, którego Sebuś narąbał jej tuż przed, chociaż było ciepło. Przed domem drzewo, na które lubił się wdrapywać i tak zwisać. Przeczucia? Tak, miała, ale nie aż tak złe. Dlatego chcieli się wyprowadzić, jeszcze zanim się to stało. Już podjęli decyzję. Już zrobiła zdjęcia, żeby je zamieścić w Internecie. Nie zdążyła.

Opowiada o tym, jak nie wierzyła, że to on. W tych workach, w tym lesie. A potem w trumnie. Przyglądała się zwłokom i coraz bardziej jej się wydawało, że to tylko ktoś do niego bardzo podobny.

Dosiada się do nas tata. On wcale nie chciał oglądać Sebastiana w trumnie. A potem kazał sobie tę trumnę cztery razy otwierać.

- Wczoraj w domu malowałem tę ławkę. Chwila pociągania pędzlem to chwila nie myślenia. Ale nagle myśl wraca. Co ja robię? Dlaczego ja mu maluję ławkę na cmentarz? Dlaczego nie półkę na książki? Dlaczego?!

Pytali o to Boga, ale on milczał. Potem się na Boga obrazili.

- Panie, przecież jesteś wszędzie! To byłeś w tym lesie! Dlaczego nie powstrzymałeś ręki z nożem? Dlaczego nie wskazałeś drogi ucieczki?

- Ale zaraz potem myślałem sobie: a gdzie ja wtedy byłem? Dziecko przeżyło prawie 10 lat, a ja przy nim byłem pięć, nawet nie. Miałem pretensje do siebie. Potem, a może wcześniej, do żony.

Do Boguszowa mają pretensję do dziś, o jedno tylko. Dlaczego nikt nic im nie powiedział. Miejscowi go znali, oni nie. Miejscowi wiedzieli, że leczył się psychiatrycznie, co po polsku oznacza, że brał leki uspokajające. A dla nich był panem z Centrum Kultury, z sali nad biblioteką w rynku. Wyglądał dziwnie, poruszał się dziwnie, ale myśleli, że ci od walk wschodu, tak mają. W końcu to cała filozofia, a nie tylko sport.

Tygodnie mijają, a im nie zostaje już nic, tylko myślenie. Tłumaczenie sobie niewytłumaczalnego. Owszem były przypadki, zbiegi okoliczności, sygnały z kosmosu, ale

nie rozumieli ich. Wszystko tłumaczyli sobie jako dobry znak. Bo niby, dlaczego miałoby akurat ich coś złego spotkać? Dobrze im szło. Te rozłąki to było normalne. On od dwudziestu lat tak pracuje. Jak marynarz. Nikt nie ma pretensji do marynarza, że opuszcza rodzinę. Taka praca.

- Myśmy tylko chcieli żyć normalnie.

Córka upomina rodziców, że to już dwie godziny, że dość. Deszcz zaczyna padać. Stoimy przy samochodach. Od chwili, gdy dowiedzieli się o śmierci Sebastiana, zakneśli drzwi przed dziennikarzami, ale teraz są zadowoleni, że udało się zepchnąć dwie godziny życia w przepaść, że bliżej do nocy, do jutra. A jutro trzeba będzie jakoś spędzić.

– Pamiętam, jak zawsze wracałem z Niemiec. Już granica, już Wrocław, już Wałbrzych, Boguszów, nareszcie Stary Lesieniec. Dzieci w oknach. Sebuś biegnie do furtki. „Tata!” – woła.

I ten ostatni raz. Cztery godziny drogi, ze świadomością, że go już nie ma.

Cisza. Córka znów nas upomina.

Jeszcze chwila o metafizyce. Biały gołąb. Przyleciał na parapet ich domu trzeciego dnia po. Siedział przez godzinę. Odleciał, gdy tata sięgnął po kamerę. Biały jak anioł. I tak główkę przekręcał, jak Sebuś. Bo on był taki wercipięcik właśnie.

- I coś przeczuwał. Wie pani, że on sobie zrobił ołtarzyk? Wyciął z paneli trzy deszczułki, zbił w taką skrzynkę, pomalował, wstawił krzyżyk i zapalił świece. Dwa dni na to poświęcił. Tuż przed śmiercią. Nie karmnik, nie huśtawkę, tylko ołtarzyk. Skąd mu się to wzięło?

O modlitwie.

Żeby go Bóg oddał.

- Kilka dni po pogrzebie modliliśmy się o to wspólnie.

- O cud – wyjaśniła szeptem mama, widząc, że nie rozumiem.

- Mówiłem: Boże! Przecież jesteś wszechmocny. Czemu nie? Raz na dwa tysiące lat po Chrystusie, okaż jak jesteś miłosierny. I tak wiemy, jak jesteś wielki. Wszechmocny. Więc co ci szkodzi, jeden raz po Łazarzu?

Przestali. Każdy by tak chciał. Poza tym, taka modlitwa dręczy duszę Sebcia. A ona i tak jest już udręczona. Tak jak ciało.

O tym co najgorsze.

- Na początku najstraszniejsze były dni- mówi tato. – A teraz noce. I dni.- dodaje.

Jest taka jedna sekunda doby, kiedy jest dobrze. To jest wtedy, kiedy się człowiek budzi i przez jeden moment ani śpi, ani nie śpi. Ani nie wie gdzie jest, ani kim jest, ani co się dzieje. I

natychmiast przychodzi świadomość. Zaciska się na głowie jak obręcz. Rozgnięta mózg. I to jest chwila najgorsza.

Ostatnia droga Sebastiana wiodła górą, wzdłuż Drogi Krzyżowej Trudu Górniczego z granitu. Na wysokości Stacji V „Uczynek Szymona”, Daniel skierował go w głąb bukowego lasu. W takim lesie jest zawsze trochę ciemno. Trochę ponuro. Drzewa gładkie, wysokie, jak kolumny. Zostawili za sobą wądół, w którym baryciarze, jeszcze 10 lat temu, detonowali przeterminowane ładunki wybuchowe z kopalni. Doszli do dwóch drzew rosnących blisko, w lekkim rozwarciu, jak litera V. To tu się to stało.

Między tymi drzewami proboszcz ustawił granitową tablicę z krzyżem i informacją o Sebastianie. Wygląda tak samo, jak stacje Drogi. Zrobił ją ten sam kamieniarz.

Kilka metrów dalej, rozgarnięte liście, jakieś gałęzie, wióry. Obok porzucone gumowe rękawiczki. Te same, które dwa miesiące temu, pokazywali w telewizji.

Dzwoni mama. Czy pamiętam, kiedy powstała ta Droga. Pamiętam. Od maja 2001 roku pracował kamieniarz.

- To wtedy, kiedy przyjechaliśmy tu po raz pierwszy, obejrzeć dom.

- Ale poświęcona została jesienią. Pod kościołem była wielka uroczystość. Byłam tam wtedy. Pamiętam, padał deszcz. Przyjechał biskup. Baryciarze trzymali chorągwie. Wiało. Tablice były gotowe. Stały w rzędzie i czekały na wyniesienie. Od kościoła, przez były szyb, na Chełmiec. Montowali je w następnym tygodniu, bo święcenie odbywało się w niedzielę.

- Ale dokładnie, jaka to była data? Może to pani sprawdzić?

Mogę. Podaję.

Cisza.

- Czy ta data coś pani mówi?

- Nazajutrz podpisaliśmy akt notarialny.

Cisza.

- Kupiliśmy ten dom następnego dnia. Przypadek? – pyta mama. – Znowu przypadek? - Powtarza i nie wiem, czy pyta, czy szuka sensu w bezsensie.- A może znak? Dlaczego nie było nam dane go zrozumieć?!

- Nie wiem.

Może dopiero cierpienie uczy nas czytać znaki.